

# IMPREZA

Na dworze już zmierzchało, kiedy przed domem pojawiły się pierwsze samochody. Pierwszy zaparkował na podjeździe, tuż za autem gospodarza, Stacha zwanego Belfegorem, jako że miał szpetną fizjonomię. Drugi stanął na trawniku obok pierwszego, trzeci, czwarty i piąty już na ulicy, gdyż frontyard okazał się zbyt skromny. Jeszcze paru gości brakowało, wiadomo, to ci zawsze spóźnialscy, ale impreza się rozpoczęła.

Belfegor witał wszystkich na progu posesji i gratulował punktualności, albowiem nikt nie lubi czekać, zwłaszcza gdy wódka studzi się w lodówce. Belfegor z żoną (Marysią) gołnęli już sobie co prawda po jednym albo może i dwa, lecz pozory należało zachować. Bogiem a prawdą Belfegor nienawidził spóźnialskich; jeszcze w wojsku w Polsce nauczył się punktualności, a tutaj, w kraju, jakby nie było, kapitalistycznym, czas to pieniądz.

– Time is money - powtarzał często Marysi, bo i ona z czasem miała się na bakier. Gdy mieli dokądś wychodzić – jeszcze tylko lokówka, jeszcze żelazko, szybko, szybko... Belfegora szlag trafiał na to babskie gnuśniarstwo. Ale teraz był serdeczny i gościnnie wobec właśnie przybyłych.

Z pierwszego auta wygramolił się Józek Sitwa (Sitwa to jego przezwisko) i swym tubalnym głosem, a był postury Herkulesa, powiedział:

– Wódek u nas dostatek, ale te dwie przyjmuję – lubił niejasne sytuacje i lubił parafrazować Sienkiewicza. To mówiąc wręczył dwie flaszki Belfegorowi jako „wpisowe” na imprezę. Taki panował tu zwyczaj, albowiem wszyscy zarabiali w dolarach, że nikt o suchym pysku nie przychodził. Za friko to można było chlać w PRL-u, mawiano zgodnie. Marysia usłużnie sadzała gości na fotelach, dwu kanapkach i doniesionych oraz pożyczonych od sąsiadów krzesłach. Była przy tym osobą nader skromną – w przeciwieństwie do Stasia. Gdy Stach-Belfegor uwaliał się na połowie kanapy, zmuszając gości do zajęcia krzesła, jakby nie było, znacznie twardszych, powiedziała:  
– Ależ Stasiu, bój się Boga! Gość w dom, Bóg w dom!

Aneta przyjechała sama z dziećmi; mąż mimo soboty był u roboty, jak powiedziała, a lubiła mówić wierszem niczym Mickiewicz. Była to ładna blondyneczka o figurze modelki. Dostawiało się do niej paru samotnych, zwłaszcza na imprezach, zwłaszcza gdy była bez męża albo gdy mąż popił. Teraz usadziła dzieci na karpcie przed telewizorem i puściła im bajki z wideo. Miała je z głowy na jakieś dwie godziny.

W pokoju zwanym livingrumem zebrało się już spore towarzystwo, z dwanaście osób, nie licząc dzieci. Prawie wszyscy kurzyli fajki, więc w powietrzu szybko zawisła siekiera. Otwarto na chwilę okna i szklane drzwi na taras, lecz czym prędzej je zamknięto, bo z ulicy szedł ziąb. Powietrze można było kroić nożem. Domek był mały, robotniczy, ciasny, ale własny. Belfegor robił owertajmy w fabryce krzesła, bo nie mogli nadażyć ze splatami mortgidzu.

Marysia zaczęła wnosić talerze z bigosem, który gotowała przez całe rano i przedpołudnie, i podawać każdemu do ręki wraz z widelcem. Był też barszczyk z uszkami w dużych filiżankach i flaczki. Wszak trzeba przekąsić, by nie puścić pawia. Do tego piwo w

puszkach jak z Pewexu, dobrze schłodzone. To dla panów. A dla pań lampka czerwonego wina. Kulturalnie należy pić.

Wreszcie zjawili się spóźnialscy: Lutek zwany W Kółko Golony, gdyż było to jego słynne powiedzonko, z żoną i dziećmi po półtora metra, oraz Ryszard Lwie Serce zwany też, nieco złośliwie i koniecznie za plecami, Kołkiem, gdyż miał o odrobinę spóźniony zapłon. Z dowcipów zawsze śmiał się ostatni i najdłużej. Ale jak się śmiał! Pokazywał trzonowe jak na patelni.

Usiedli, przekazali bigosu, popili barszczyku. Marysia poląła w małe kieliszki. Wtem Belfegor postukał widelcem w szklanekę, aby uciszyć gwar niczym w zakładzie gastronomicznym III klasy, i odezwał się w te słowa:

– Zebraliśmy się tutaj, aby uczcić rocznicę podpisania Porozumień Gdańskich! Co prawda tydzień temu spotkaliśmy się w tym samym gronie u Ryszarda Lwie Serce, a tydzień wcześniej u Józka Sitwy, ale tym razem jest to okazja szczególna. Dlatego proponuję wznieść pierwszy toast za... – zawahał się, jakby chciał zwrócić na siebie jeszcze większą uwagę, po czym dokończył: – Za „Solidarność” i Lecha Wałęsę!

– Za „Solidarność”! – huknęło w pokoju i wszyscy wznieśli kieliszki, po czym jak na komendę odrzucili głowy do tyłu, połykając zawartość do dna. Niektórzy wykrzywili usta w szpetnym grymasie, albowiem jest to cecha charakterystyczna dla picia czystej wódki. Belfegor miał uzasadnione prawo przemówić w ten sposób nie tylko dlatego, że był tutaj gospodarzem, lecz również z powodu tego, iż w strukturach „Solidarności” w Fabryce Maszyn Rolniczych w Gniewkowie był całkiem wysoko postawiony. W stanie wojennym był internowany, a potem dostał „wilczy bilet” i wyjechał do Niemiec. Wśród zebranych mocno mu tego zazdroszczono, jako że nikt inny nie mógł pochwalić się taką przeszłością.

Marysia poląła drugą kolejkę. Tymczasem Belfegor ciągnął:

– Proponuję wznieść drugi toast na drugą nogę – w tym miejscu zaśmiał się krótko – za zwycięstwo „Solidarności” w wyborach!

– Za zwycięstwo! – huknęło po raz drugi i wszyscy gołnęli zgodnie na drugą nogę. Józek Sitwa chuchnął w żytni chlebek ze sklepu kontynentalnego „Polandia”.

– Pięknie powiedziane – zauważył Ryszard Lwie Serce, komentując wypowiedź Belfegara. Było to z jego strony nieszczerze, gdyż serdecznie Belfegara nie lubił. Uważał go za snoba i na dodatek dusigrosza. Ale tymczasem trzymał fason.

Marysia poląła trzecią kolejkę, potem czwartą, a potem nikt już nie liczył.

– Chluśniem, bo uśniem! – padało co jakiś czas. – Za tych, co na morzu!

W końcu otwarto okna i szklane drzwi na taras, bowiem nie było już czym oddychać. Z dworu powiało chłodem. Niektórzy założyli kurtki do pasa z brązowej skórki. Takie kurtki w PRL-u były oznaką majątności, a tutaj ubierał się w nie każdy swój. Do tego niebieskie dżinsy, białe skarpetki i także adidas. I konieczne swetry szetlandy. Dzięki tym poniekąd uniformom rozpoznawali się w tłumie na ulicach miasta.

– Peerelowska moda, psiakrew – szepnął do siebie Ryszard Lwie Serce, który nosił się na czarno i czerwono: czarne mokasyny, czarne dżinsy, czerwony golf z grubej wełny. A szepnął to widząc Belfegara zakładającego kurtkę do pasa z brązowej skórki. Mimowolnie zacisnął pięści. Belfegor tego nie dostrzegł, a powinien był.

– Powinien włączyć ogrzewanie – ciągnął do siebie Ryszard Lwie Serce – ale to dusigrosz, cholera! - Narastało w nim napięcie, tym bardziej że wypił już sporo.

Tymczasem towarzystwo podzieliło się na grupki i w grupkach dyskutując o sprawach ważkich, wzajemnie się przekrzykiwało. A na domiar złego Marysia nastawiła Michaela Jacksona prawie na całą pydę. Mieli wieżę Sony z wielkimi głośnikami rozstawionymi w dwu rogach pokoju, z której to wieży szczególnie Belfegor był niezmiernie dumny. Pogłośnił jeszcze trochę pilotem i popatrzył po twarzach, czy ktoś to zauważył. Znaczący się pilota. Jednak goście zajęci byli sobą.

– I ona, rozumiesz – perorował Józek Sitwa w swej grupce – wróciła do domu wcześniej, a jej stary w łóżku z kochanką! Jak do nich doskoczyła, cała w szale, i tej dziwce od razu w papę dała, a na męża z pazurami do twarzy. Tak go podrapała, że potem przez tydzień wstydział się wychodzić z domu.

– Coś takiego! – nie mogła uwierzyć Aneta, ładna blondyneczka, o której mówiono pokątnie, że też się puszcza, ale nikt na to wyraźnego dowodu nie miał. Może tak z zazdrości o jej niewątpliwą urodę.

Nagle Ryszard Lwie Serce wstał z krzesła, przez chwilę mocował się z sobą, aby utrzymać równowagę ciała, po czym w trzech krokach zbliżył się do wieży i wyłączył Michaela Jacksona.

– A zesz ty! – wnerwił się Belfegor, który nie lubił go równie serdecznie, i pilotem włączył muzykę na powrót. Goście nagle umilkli i popatrzyli ciekawie, co się będzie działo. Ryszard Lwie Serce ponownie wyłączył wieżę, a Belfegor ponownie włączył. Ryszard Lwie Serce raz jeszcze wyłączył, a Belfegor raz jeszcze włączył.

– Własnych myśli nie słyszę w tym hałasie – krzyknął Ryszard Lwie Serce, zagłuszając Michaela Jacksona tudzież Belfegora, który odpowiedział:

– Nie będziesz mi w moim domu muzyką sterował, ty skurwysynu!

Ryszard Lwie Serce posłyszał tylko ostatnie słowo i krzyknął, wyłączając wieżę: – Nie będziesz mojej matki nazywał kurwą! To mówiąc rzucił się na Belfegora z pięściami do twarzy, lecz chybił. Belfegor uskoczył w bok i z całej siły wyprowadził prawego sierpowego, trafiając go w skroń. Ten stracił równowagę i runął na krzesło, łamiąc je na drobne kawałki. Belfegor włączył wieżę pilotem. Powalony tak silnym ciosem Ryszard Lwie Serce próbował się podnieść, lecz nadmiar alkoholu był wyraźnie ciężki. Po chwili wstał, kolibał się przez chwilę na nogach, wreszcie raz jeszcze rzucił się na Belfegora. I tym razem bezskutecznie. Belfegor był szybszy. Jednocześnie trafił pijanego napastnika prosto w limo. Ten zatoczył się i wpadł w okno, z hukiem wybijając szybę. Z głowy i ręki połała się krew. Kobiety zapiszczały, Aneta doskoczyła do Ryszarda Lwie Serce, próbując go podnieść z podłogi pod oknem. Na karpet sączyła się krew, pozostawiając czerwoną plamę (a karpet był kremowy). Zobaczył to Belfegor, doskoczył do leżącego i kopnął go w brzuch, krzycząc:

– Karpet mi zaświnił! I szybę wybił! Zapłacisz mi za to!

Do Belfegora doskoczył Józek Sitwa postury Herkulesa i krzyknął:

– Leżącego się nie bije!

– Nie wtrącaj się – rzucił Belfegor, niższy o głowę, próbując wyzwolić się z uścisku. Tak się szamotali, że obaj upadli na niską ławę, tłukąc szkło i porcelanę, wywracając butelki, z których popłynęła wódka prosto na podłogę.

Tymczasem Ryszard Lwie Serce podniósł się z upadku, podszedł do wieży i wyłączył muzykę. Podbite limo już purpurowiało. Z głowy na golf sączyła się krew dość silnym strumieniem. Belfegor nie mógł zareagować, gdyż ciągle tarzał się z Józkiem Sitwą na karpecie obok ławy. Ten nie pozwalał mu się wyswobodzić z nelsona. Obaj krzyczeli. Pierwszy: – Kurwa, puszczaj! Drugi: – Uspokój się, durniu, bo złamię ci kark! Aneta pobięła do łazienki i wróciła z ręcznikiem, aby opatrzyć rany na głowie i ręce Ryszarda Lwie Serce. Ten nie miał już ochoty do dalszej walki. Zresztą postawił na swoim: Michael Jackson milczał.

Wreszcie Belfegor uspokoił się pod wpływem uścisku na karku. Był bezsilny. Józek Sitwa puścił go, na wszelki wypadek pozostając w pobliżu. Belfegor otrzepał się (miał wyrwany rękaw w kurtce z brązowej skórki) i zwrócił się do gości, a szczególnie do Ryszarda Lwie Serce, który wciąż pilnował wieży:

– Koniec imprezy! Wynocha z mojego domu!

– Ależ Stasiu – powiedziała Marysia swym łagodnym głosem. – Tak nie można. Sam mówiłeś, że dzisiaj jest szczególna okazja...

– Powiedziałem: wynocha!

Co było robić? Goście poczęli zbierać się do wyjścia, prowadzić dzieci, które dotąd stały po kątach oszołomione zaistniałymi wypadkami. Impreza rzeczywiście dobiegła końca. Teraz należało tylko bezpiecznie wrócić do domów, unikając policji na ulicach. Potem odrobić tydzień w fabrykach i może w następną sobotę wszystko wróci do normy, by spotkać się w tym samym gronie w innym domu.

Gdy zostali sami, Marysia zaczęła sprzątać pokój, a Belfegor usiadł na kanapie, nalał sobie, wypił i głęboko się zamyślił. Była to wszak rocznica podpisania Porozumień Gdańskich.